

Skarga utraconych ziem

Rysunki: Grzegorz Rosiński, kolory: Graza, scenariusz: Jean Dufaux. Egmont 2009.



Egmont podsyca miłość czytelników do Grzegorza Rosińskiego. Niedawno ukazała się nowa seria z dziełami Mistrza, sygnowana inicjałami „GR”, a wydana w sposób kolekcjonerski (twarda oprawa, znakomity papier, reprints rysunków). Rozpoczyna ją reedycja „Skargi utraconych ziem”, czyli czterech tomów – „Sioban”, „Blackmore”, „Pani Gerfaut” i „Kyle z Klanach”. Zostały wydane we Francji w latach 1993–1998, a w Polsce po raz pierwszy w 2000–2001. Rosiński nie opuszcza ulubionego tematu – normañskich legend. Odnajdujemy tu echa „Thorgala” czy „Beowulfa”, a zatem kraina rosi się od ślicznych księżniczek, którym narzucają jarzmo brutalni faceci, a także – na szczęście – od herosów, którzy ratują świat działając na styku magii i miecza. Trochę to powtórka z przeszłości i rozrywki, ale Rosińskiemu udaje się unknąć znudzeniu czytelnika. Komiks jest wielowarstwowy i wielowymiarowy, a co najważniejsze – sugestywny. Normañski świat wciąż niesamowicie wciąga. Thorgal może czuć się zazdrosny!

Popman

Scenariusz i rysunki: Tomasz Tomaszewski. Kultura Gniewu 2010.



Skąd się biorą komiksy? Dobre pytanie. „Pewnego dnia roku 1999 wawozami łódzkich ulic hulał wiatr – nie jakiś zefirek czy niewinny huragan, ale Wiatr Historii. Na Olsztyńskiej wpadł do mieszkania komiksowego artysty Te-Te, zakreślił leżącymi na stole gazetami i pognął dalej, a z kłębu zadrukowanych papierowych płacht wyłonił się człowieczek pomachujący cieniutki mi rączkami – Popman” – tak powstanie albumu opisują twórcy. Popman w zamysle miał być karykaturalnym odbiciem naszej medialno-cyfrowej rzeczywistości. Miesza się tu „Super Express” z „Uwagą” i „Wiadomościami”, czyli mamy zalem zmutowanej papki społeczeństwa informacyjnego. Pomysł absolutnie intrygujący i dający pole do scenariuszowego popisu. Niestety wydaje mi się nie do końca wykorzystany, może dlatego, że znam media od podszewki. Autor, jak ten wspomniany wiatr, jedynie dotyka tematu, nie zagłębiając się w niuanse. Szkoda, bo świat, zwłaszcza mediów, jest trochę bardziej skomplikowany (niestety).

RAFAL STANOWSKI

Co siedzi w człowieku

„Fafaberie” to tytuł debiutanckiego albumu grupy Disparates. Rozmawialiśmy o nim z wokalistą zespołu – Bartkiem Kulikiem.

– Podobno zjeżdżiliście kawał świata. Turystycznie czy zarobkowo?

– Bez przesady... W Anglii miałem się różnych dziwnych zajęć, we Francji również – przy okazji troszkę się szwedząc, a w Maroku nabierałem dystansu do tego, co się wtedy działo w moim życiu.

– Czy te podróże wpłynęły na Twoją działalność muzyczną?

– Na płycie rzeczywiście jest dużo odniesień do tego, co przytrafiło mi się podczas pobytu za granicą – chociaż często owe historie są pretekstem do tego, aby ustosunkować się do pewnych bardziej ogólnych spraw.

– Kiedy postanowicie powołać do życia Disparates?

– Pomyśl chodził mi po głowie mniej więcej od połowy 2006 roku. Wtedy też zaczęły powstawać pierwsze piosenki. Na początku 2007 roku wykonałem z Wielkiej Brytanii dwa telefony do zaprzyjaźnionych muzyków i zdecydowałem się wrócić do Torunia. W marcu pojawiłem się na dworcu z gitarą, mandoliną i dwoma plecakami. Tak to się zaczęło...

– Co oznacza Wasza nazwa?

– Zaczepiliśmy ją z cyklu grafik Francisco Goyi. Początkowo miała mieć tylko roboczy charakter, ale chłopaki tak do niej przywykli, że nie chcieli słyszeć o żadnej zmianie. Generalnie oznacza ona, że chcemy dać wybrzmieć w sposób nieskrępowany temu, co siedzi w człowieku – nie zawsze radosnym myśłem i emocjom.

– Podczas ubiegłorocznej edycji festiwalu FAMA zdobyliście główną nagrodę. Czy to oznacza, że czujecie się najlepiej w środowisku studenckim?

– To była jedna z kilku równorzędnych nagród, ale rzeczy-



KAPELA PRZED CHAŁUPĄ
FOT. PAWEŁ KOTAS

wiście bardzo miło wspominamy wyjazd do Świnoujścia – pod względem artystycznym i towarzyskim. Mam wrażenie, że było tam sporo osób, które fajnie zareagowało na to, co zagraliśmy.

– W Waszej muzyce nie brakuje rockowej energii, ale dominują w niej jednak folkowe brzmienia. To efekt Twoich podróży?

– Raczej nie, bo to głównie elementy lokalnego folkloru – słowiańskiego, cygańskiego, żydowskiego. Kiedy zakładałem zespół, nie myślałem, że nasza muzyka będzie taka „skoczna”. Ale współpracując z innymi, muszę się liczyć z tym, że brzmienie grupy będzie wypadkową fascynacji wszystkich jej członków. I okazało się, że ta dynamiczna rytmika odziera nas z patosu, o który łatwo, gdy w piosence człowiek ociera się

o zasadnicze pytania. Ta ironia mi odpowiada – jest w zgodzie z moim charakterem. (śmiech)

– Ważnym elementem brzmienia Disparates są dźwięki akustycznych instrumentów – akordeonu, waltorni czy trąbki.

– Na początku był tylko akordeon. Potem próbowaliśmy wprowadzić skrzypce i kontrabas, ale nie do końca to się komponowało. Sekcja dęta chodziła mi po głowie od początku, ale okazało się, że niełatwo jest znaleźć odpowiednich ludzi pod kątem muzycznym i towarzyskim. Ale w końcu się udało.

– Jak sobie radziliście w studiu?

– Mieliliśmy trochę za mało czasu i doświadczenia, żeby pozbawić się muzyką. Dlatego niektóre utwory są dla mnie za bardzo zwarte. Zresztą już na najbliższych koncertach chcemy

zagrać niektóre piosenki z „Fafaberii” w bardziej rozimprowanych wersjach. Jesienią planujemy znowu wejść do studia i spróbować więcej poeksperymentować.

– Niezwykle ważną rolę w waszej twórczości odgrywają teksty. Czy to znaczy, że można Was zakwalifikować do grona wykonawców „piosenki literackiej”?

– Faktycznie, praca nad utworem zawsze zaczyna się u nas od tekstu. Przynoszę na próbę słowa i załączek melodii na gitarę klasyczną, a potem to wspólnie rozwijamy.

– Twoje teksty przywołują skojarzenia z twórczością Williama Burroughsa, Paula Bowlesa czy Jeana Geneta.

– Nie chcę, aby moje piosenki były o tym, co ostatnio przeczytałem albo usłyszałem. (śmiech)

To ma być moje subiektywne spojrzenie na to, co się dzieje ze mną i wokół mnie. Na „Fafaberii” nie ma żadnych zmyślnych zdarzeń, a jeśli niektóre historie delikatnie podkoloryzowałem, to tylko, żeby pewne rzeczy uwytklić.

– Z kolei w „Ingmarze” pojawia się wyraźne nawiązanie do „Sódmej pieczęci” Bergmana.

– To jedyna piosenka mająca bezpośrednie odniesienie tego rodzaju. Chodziło mi o pokazanie różnych postaw życiowych przy wykorzystaniu fabuły filmu – oczywiście bez żadnej próby moralizowania. Całość muzycznie osadzona jest w średnio-wiecznym klimacie, czyli jak na kapelę wywodzącą się z krzyżackiego Torunia – bardzo na miejscu. (śmiech)

Rozmawiał PAWEŁ GZYL

»FONIA CZY KAKOFONIA

silne odpychanie, lekkie odpychanie, reakcja obojętna, lekkie przyciąganie, silne przyciąganie, pole magnetyczne



Emmanuelle Seigner „Dingue”

Sony
„Kim pan jest? Co pan robi w moim łóżku” – pyta w piosence „Qui Etes-Vous?” Emmanuelle Seigner swego męża, Romana Polańskiego. „Jestem wcieloną miłością” – odpowiada żonie słynny reżyser. Choć po jego areztowaniu wytwórnia doradzała wokalistce usunięcie tego utworu z nowego albumu, ona jednak postawiła na swoim. I dobrze – bo z marketingowego punktu widzenia nagranie z pewnością poprawi sprzedaż płyty. Choć pod względem muzycznym również nie jest źle – tym razem Seigner rezygnuje z rock’n’rolowych wycieczek na rzecz stylizowanej na lata 60. francuskiej chanson. I co ciekawe – jej stabiutki głos prezentuje się w tej konwencji znacznie lepiej. Patrząc na efektowną okładkę i słuchając zmysłowego szepetu aktorki można poczuć się przez chwilę jak sam Polański.



Cold Cave „Love Comes Close”

Sonic
Nareszcie! W kilka miesięcy po zachodniej premierze dociera do nas jeden z najciekawszych albumów minionego roku. Jego autorem jest nowojorski muzyk Wesley Eisold, nazwany przez „Guardiana” „nowym bogiem nihilizmu i rozpacz”. Zaprawiony w punkowych bojach, powołał do życia w 2008 roku elektroniczny projekt Cold Cave, w którym wspiera go obecnie dwoje dodatkowych muzyków – Caralee McElroy z Xiu Xiu i Dominic Fernow z Prurient. Ich muzyka zawarta na „Love Comes Close” jest wypadkową mrocznego synth-popu, pełnego cyfrowych przesterów shoegaze’u i nowofalowych melodii. Uzupełniona ponurymi tekstami niesie ogromny ładunek emocji, odkrywających zaskakujące piękno egzystencjalnego smutku. A wszystko to zupełnie na serio – bez estetycznych gier ze słuchaczem.



Kesha „Animal”

Sony
Show-biznes nie zna litości: wystarczy, że fani znudzili się ciągłym roztrząsaniem kwestii pticy Lady Gagi, a już podsuwa się im kolejną gwiazdkę. Kesha, nazwana przez „Guardiana” „zdegenerowaną Hanną Montaną” również zaczynała od skandali – włamania do willi Prince’a w celu podrzucenia mu swego demo oraz wymiotowania do szafy w garderobie Paris Hilton po wspólnej sesji nagraniowej. Nie dziwi zatem, że także piosenki 22-letniej wokalistki przypominają nagrania jej starszej koleżanki. To taneczny pop o mocno elektronicznym brzmieniu, które tworzą aranzacyjne kalki nie pierwej już świeżości. Jedynym wyróżnikiem Kesha są jej rapowe wstawki w kilku nagraniach. Aż dziw bierze, że Amerykanie wywindowali ten album na szczyt listy bestsellerów.



Dan Le Sac Vs Scroobius Pip „The Logic Of Chance”

iSound
Występ tego brytyjskiego duetu podczas ubiegłorocznej edycji festiwalu Nowa Muzyka w Katowicach był jednym z jego najmocniejszych punktów. W kwietniu producent Dan Le Sac i raper Scroobius Pip wrócą do Polski, aby promować swój najnowszy album. I koncerty te będą z pewnością jeszcze ciekawsze – bo nowy materiał Anglików jest znacznie mocniejszy niż debiut. Liczne występy sprawiły, że twórcy lepiej się zgrali, co pozwoliło im swobodnie uwolnić się od indie-rockowych wpływów i skierować w stronę zdecydowanie tanecznych rytmów. W efekcie powstał energetyczny grime, w którym siarczyste bity łączą się z chwytliwymi melodiami i zaangażowanymi rymami. Dizzee Rascal powinien być zazdrosny.

PAWEŁ GZYL



Owl City „Ocean Eyes”

Universal
Zrobienie dobrej piosenki o niczym to sztuka. Być może takie właśnie założenie przyświecało Adamowi Youngowi, prowadzącemu jednoosobowy projekt Owl City. Nie udało się – Amerykanin nagrał piosenki o niczym, ale kiepskie. Tandetne efekty elektroniczne (auto-tune) połączone z banalną popową stylistyką nie mają nic wspólnego nie tylko z artyzmem, ale nawet z utrzymaną na choćby przyzwoitym poziomie twórczością. O poszczególnych utworach na „Ocean Eyes” ciężko cokolwiek napisać, ponieważ krążek składa się z nagranych dwanaście razy, jednej i tej samej piosenki. Dziwić może fenomen popularności singlowego „Fireflies” jak i zachwyty pokolenia MySpace nad muzyką Owl City. Gigantyczne nieporozumienie.

BARTEK RADNIECKI